

SPOŁECZEŃSTWO

Tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny.

PRENUMERATA: w Warszawie: z odnośnieniem do domu rocznie rb. 7 k. 60; Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedynczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rb. 9, Kwartalnie rb. 2 k. 25. Numer pojedynczy k. 20. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO” wychodzi co piątek.

Adres Red. i Administr. **Żórawia 29, m. 2; Tel. 116 67.**

TREŚĆ NUMERU.

Dwie abdykacje.
Cierpienie (odcinek).
Na emigracji politycznej (ciąg dalszy).

OGŁOSZENIA po kop. 10 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADEŚLANE na 1 stronie przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki o g. 2—3 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

Neomaltuzjanizm a kwestja społeczna.
Echa.
Ruch zawodowy.
Sprawa Azewa.

Wystawa Fotograficzna

Wierzbowa 8 otwarta w niedzielę i święta od 12^{1/2} do 7^{1/3}, a we wtorki, czwartki i soboty od 5-jej do 8 w.

DWIE ABDYKACJE.

P. Dmowski złożył mandat...

Dyktator z przedmieścia stolicy kraju, wyniesiony na szczyt potęgi i rozgłosu falą niezależnych oden wypadków, więcej — wypadków, których prawidłowemu i zwycięskiemu pochodowi kładł się w poprzek — uległ.

A uległ pod naciskiem opinii publicznej, która przez usta prasy, wyrażającej jej własne tylko uczucia i przekonania, uznała go — ostatniego po Wielopolskim w kraju naszym człowieka, co chciał — może — czynić dla społeczeństwa, lecz nie ze społeczeństwem, — za „mąciela narodowej kadzi“.

I jest to — bez względu na to, co piszą organa przyboczne złamanej wielkości i realistów, objaw — w naszych smutnych czasach — pocieszający.

Okazało się, że nawet w społeczeństwie tak zgnębionem, jak nasze, w społeczeństwie, gdzie skutek warunków bytowania, a raczej uporczywej obrony przeciw konaniu, każda słomka wydaje się deską ratunku, każdy nowy człowiek przychodzący z planem — częstokroć fantastycznym — ocalenia, staje się człowiekiem opatrnościowym, nawet w tem społeczeństwie niewolno pod groźbą skręcenia karku iść przeciw przeważającej większości.

Takie jest żelazne prawo czyniącej bądź co bądź i u nas postępy demokracji.

I nic nie pomoże tu rzucanie obelg w stronę tych, którzy ucziwie, a wytrwale byli, lub —

w miarę rozwoju polityki p. Dmowskiego — stawali się rzecznikami niezaslepionej części ogółu.

„Ujadania neofitów postępu“ — to jeszcze jeden z najłagodniejszych i najwykwintniejszych komplementów, jakimi „Głos Warszawski“ obrzuca wystąpienia publicystyczne przeciwników p. Romana — rozwiały złudę nieomyślności samozwańczego dyktatora.

Mówimy „samozwańczego“, nie chcąc powiedzieć dyktatora „z łaski istniejącej ordynacji wyborczej“.

Prawda, że sam p. Dmowski tłumaczy zrzeczenie się swe — chorobą.

Ale w takim razie choroba ta przyszłaby dlań bardzo *à propos*, ratowałaby go od niewdzięcznego zadania wypicia piwa, które sam nawarzył, zwalnia jego, a obarcza tembardziej towarzyszy, którzy nie złożyli mandatu, koniecznością wyciągnięcia delegacji polskiej w Dumie z tego zakłętego koła, w jakie wplotła ją bezprogramowa, fantastyczna i — choć to może brzmi dziwnie — utopijna działalność b. prezesa.

W istocie upadłość p. Dmowskiego pozostawia dotychczasowym jego współtowarzyszom czy też podwładnym zlikwidowanie chociażby dwóch tylko takich spraw, jak polityka słowiańska i bezowocne a poniżające zaloty do paździenikowców.

Czy ludzie ci zdołają się jeszcze otrząsnąć z hipnozy, narzuconej im przez ex-prezesa, czy potrafią jeszcze potoczyć Koło po innej, bardziej właściwej — i na dalszą metę — celowej drodze, — zobaczymy, w każdym zaś razie, pewne jest jedno, że jeśli nie zawrócą ze szlaku, wytkniętego przez p. Dmowskiego, i w dalszym ciągu ponosić będą klęski nie tylko materialne — a ponosić je będą — całe *odium* własnego społeczeństwa spadnie na nich, gdy choroba p. Dmowskiego uchroni go od dalszych zarzutów, przyniesie zapomnienie popeł-

nianych przezeń błędów i pozwoli wystąpić mu kiedyś ponownie w pałacu Taurydzkim.

Bo nie należy wątpić, że karjera takiego „arywisty“, jak p. Dmowski nie jest ukończona. On cofa się tylko w zacisze, bo stanął na martwym punkcie, skąd żadnego już nie można uczynić poruszenia, cofa się, aby czekać na *feliciora tempora*.

Kiedy jednak te lepsze czasy nadejdą, i z jakim hufem wystąpi na nowy bój p. Dmowski, przewidzieć doprawdy trudno. W każdym razie ani chwila, ani siły do rozporządzenia nie będą dlań już tak korzystne, jak w pamiętnym r. 1905.

Nieulega wątpliwości, że „gospodarstwo“ Demokracji Narodowej skończyło się już raz na zawsze.

Jak na p. Dmowskim, zemściła się na niej bezprogramowość, nierozumienie ducha czasu i budowy społeczeństwa nowożytnego.

Rozwój stronnictwa politycznego toczy się zazwyczaj wolniej, aniżeli jednostki. Można jednak powiedzieć, że *caeteris paribus* Demokracja Narodowa przeobrażała się z równie szybką kameleonowością, jak sam jej przewodca.

Od irredentyzmu wszechpolskiego do uznania konieczności państwowych, od wyuzdanego szowinizmu do polityki słowiańskiej „bez zastrzeżeń“, od słynnego zjazdu paryskiego do nieproszonej gotowości pomagania październikom, od wniosku autonomicznego do niereagowania na autonomiczne działanie władz — droga dość

daleka — a jednak przebieżona w czasie możliwie najkrótszym.

Po abdykacji, stwierdzonej *coram populo* na konwentyklu w „pałacu błękitnym“ można się doszukiwać szczątków — w rozmaitym bardzo układzie i ustosunkowaniu — ducha narodowo-demokratycznego w wielolitych, bądź zorganizowanych bądź mgławicowych secesjach stronnictwa.

W tem, co dziś dalej jeszcze nosi miano Demokracji Narodowej, nie pozostało już nic z dawnej istoty.

Treścią stronnictwa jest teraz ugoda *à la* polityka realna, kontyngensem — klika, taktyką — obłuda, dwuznaczność i nieszczerłość.

Że między Demokracją Narodową w jej kształcie po „przełomie“ a stronnictwem realistów nie ma już dziś żadnych różnic zasadniczych, najlepszym świadectwem jest przekonanie samych ugodowców z r. 1897.

Każdy wie najlepiej, czem jest, i najlepiej odczuwa dusze bratnie, niepodejrzane więc jest zaświadczenie p. Straszewicza, który z radością witając ostateczne nawrócenie się Demokracji Narodowej, stwierdza tylko pewną różnicę w sposobie wyrażania się — nie działania.

My starzy ugodowcy — pisze z ironją p. S. — mówimy to samo, co nowi ugodowcy, tylko — *inaczej*.

Na szczęście w nieszczęściu nawet burżuazja nasza dojrzała już dostatecznie, aby się nie dać łapać na takie sztuczki dyplomatyczne, jakie za-

ZOFJA RYGIER-NALKOWSKA.

CIERPIENIE.

Bezpretensjonalny, lnianowłosy pasażer trzeciej klasy zdziwił się jednak, gdy za nadejściem stacji sąsiadka jego sięgnęła po leżące na ławce szcudła, których nie zauważył był uprzednio. „Kulawa jest“ — wynioskował z niechęcią i niejakim współczuciem. Zarazem innym już zupełnie wzrokiem objął jej twarz porcelanową i zielone, pełne znużenia, jakby zaśniedziałe oczy. — Zaiste nie domyślał się był tego w najmniejszym stopniu, rozmawiając z siedzącą od trzech blisko godzin o różnych rzeczach świata. Teraz błyskawicznie uprzytomnił sobie, że w dialogu napomknęła coś o szpitalu. „Widocznie tam jej ucinali nogę“ — uczynił dowolne przypuszczenie.

Kobieta wsparła się na szcudłach, przyczem ramiona jej uniosły się w górę, niby niedołężne skrzydełka do lotu, a minjaturowa twarzyczka opadła ku piersiom. Na pożegnanie kiwnęła głową przygodnemu towarzyszowi podróży i z pomocą tragarza zwlokła się z urwistych stopni wagonu.

Stanąwszy na drewnianym peronie, kobieta rozejrzała się i poznała miejsce znajome. Przejął ją smutek lekki i przelotny, wynikły z przypomnienia, że tak inaczej żegnała kiedyś miejsce owo, niż je wita. Przeminięło kilka bezpowrotnych lat młodości, odkąd wyruszyła stąd na podbój świata.

Musiała poczekać na tragarza, czuwając nieruchomo nad dwoma pakunkami, które ten barczysty człowiek rzucił był o ziemię u jej stóp z budzącą zaufanie nonszalancją.

Wodząc wzrokiem dookoła, spojrzała bezwolnie w okno zielonego wagonu — i tam zobaczyła raz jeszcze tę samą dobrotliwą, ogorzałą fizjognomję i oczy siwe, oglądające ją z uwagą. Uczuła nagle zażenowanie, graniczące niemal z jakimś bezimiennem poczuciem winy; uśmiechając się rozbrajająco, pragnęła, by pociąg ruszył jaknajprędzej.

Wprędce też zadygotała od łoskotu dzwonka stacyjnego, który rozbrzmiał zniemacka jakby tuż obok jej głowy. Rękę położyła na sercu, przerażona biciem jego skrzydeł. Gwizd, niby długa strzała, przeszył powoli powietrze, pociąg zgrzytnął mozolnie i z ciężkim, żelaznym kłopotem przedelfilował przed stacją.

Zabawnie smutna rzecz... Skąd taka myśl?...

Teraz właśnie — nie widząc już więcej — doznała chęci ujrzenia raz jeszcze tej łagodnej twarzy, która jaśniała niedawno w pewnym miejscu przestrzeni z okna zniknionego wagonu, usiłowała uprzytomnić sobie dźwięk głosu, barwę uśmiechu — uderzona pełną okrucieństwa, nagłą myślą, że człowiek ów, przypadły już w tej chwili tajemnie i bezpowrotnie w głębokościach świata, jest może tym jedynym, który mógłby być ją pokochać, gdyby nie rzeczy straszliwe, które zaszły.

Przeminięły minuty. Tragarz wciąż jeszcze się nie zjawiał. Oczekująca drżała na wicherze, porywającym się raz po raz od pustych, burchających, pól, leżących naprzeciwko miasteczka.

Stacja pustoszała stopniowo. Na szynach dalszych od peronu, nieco z boku, stał nieruchomo i cicho długi pociąg towarowy — i tam krążyło jeszcze paru ludzi w jednostajnych, kolejowych uniformach. Z ciemnej bramy wgłębi wyłonił się i powoli przeszedł obok człowieka jakiś, zgięty pod nadmiernie wielkim ciężarem.

warto w rezolucji „przełomowej“, ukutej pod dachem hr. Zamoyskiego.

Subtelne, a nie mające w składzie petersburskiej Izby poselskiej właściwego odpowiednika, „centrum“ nie obalamuci dziś nikogo. Wiadomo każdemu, że idzie tu o stronnictwo 17-go października, z którym „realny kompromis“, połączony z „popieraniem, gdy zachodzi tego potrzeba, przeciw prawicy“, jest dziś — obok polityki słowiańskiej — największym błędem i najjułudniejszym mirażem.

Dlatego też dyplomatyżowanie sztabu, czy niedobitków Demokracji Narodowej nie doprowadzi dla niej samej do niczego.

Podniesienie się za jego pomocą do dawnej potęgi jest niemożliwe.

Jednocześnie zewnętrzne warunki z przed lat trzech, to znaczy nacisk klasy robotniczej, a części i chłopów na burżuazję miejską i wiejską, która w stronnictwie N. D. dojrzała wówczas jedynie ratunek, prawdopodobnie z równą siłą, a może i w takiej samej postaci nie powtórzy się przedko — czy nigdy.

Żywioły nacjonalistyczne, bardziej radykalne, poszukają sobie schronienia w secesji już zorganizowanej lub może w jakimś nowym stronnictwie, które się teraz utworzy.

Ugodowcy z ducha będą woleli iść do realistów, którzy przynajmniej mówią „inaczej“, którzy, jako stronnictwo mają program identyczny z programem Narodowej Demokracji po „przełomie“ i zapowiedzianem zlegalizowaniu, a jako lu-

dzie nie mają równej buty, nietolerancji, dwulicowości, narzucania się na wyrazicieli i kierowników całego narodu.

Abdykacje programowe i osobiste w Narodowej Demokracji dokonały się wcześniej, niż najśmielszy umysł mógł to przewidywać.

Zapisać to trzeba tylko na dobro naszego społeczeństwa.

W. Wr. —ski.

NA EMIGRACJI POLITYCZNEJ.

(Ciąg dalszy).

Zwykle na dochód tygodniowy oczekuje kilkuset emigrantów, — szczęśliwców, którzy udowodnili swoją przynależność do jednej z organizacji lub drogą znajomości z członkami otrzymali dostęp do kasy. Wielkość zapomogi zależy od ilości odczytów, referatów i t. p., urządzonych w tygodniu. Jeśli wieczory nie zawodzą, kasa jest w możności zaspokoić większość zgłoszonych żądań; jeśli zaś nie — emigranci odchodzą z niczem. przeciętnie jednak zapomoga tygodniowa wynosi 3 fr. (1 rb. 20 k.)¹⁾. Biorąc pod uwagę, że funt chleba w Paryżu kosztuje 20 cnt., można mieć przybliżone pojęcie o warunkach materialnych, w jakich przebywają wychodzący polityczni z Rosji.

¹⁾ Dzięki ustanowionym probierzom sprawiedliwości, wychodzący korzystają z jednakowych zasiłków. Pewien profesor wyższego zakładu naukowego w Rosji również korzystał z 3 fr. zapomogi.

W cieniu olbrzymiej, czarnej paki kobieta ujrzała na chwilę jego krwią nabiegłą twarz i obnażone zęby. Wrażenie dziwne padło na nią od tego grymasu ust posiniałych, od połysku kłów, serce zasmucone przejął dreszcz cichej zawiści i przerażenia: nie był to bowiem grymas uśmiechu ani żądy, ale ściągający wargi skurcz tajemniczej, natężonej wołą człowieczej mocy, najbardziej niepojętej i drogocennej z rzeczy ziemi.

Gdy przeszedł, zgubiony i drobny pod swoim brzemieniem, podniosła oczy prosto przed siebie — i doznała nowego dreszczu trwogi.

W zasłonach wczesnego wieczoru wielkie, ceglaste wagony zapomnianego pociągu wydawały się pod światło prawie zupełnie czarne. W wązkich lukach pomiędzy wagonami widać było jakieś straszliwe, bezchmurne niebo zachodu. — Minęły długie miesiące, odkąd nie widziała takiej rzeczy. — Zaraz ponad wzgórkowatemi piaskami horyzontu zaczynała się pusta, zastygła, brudno zakrwawiona przestrzeń, żółknąca martwo ku górze, u wierzchu przybita do szarobłękitnej nieskończoności kilkoma ostreimi gwiazdami. Na patrzącą spadała wieść nagła, niespodziewana, a straszliwa:

— Wiosna!

Ku nozdrzom płynął jasny i chłodny zapach powietrza, dalekie gwiazdy rzuciły oczom przymrużonym kilka promieni, podobnych do sztyletów. W cieniach przyziemnych czaiły się powstrzymane oddechy, szepty niewątpliwe, nieodparte. — — —

Ze zgrozą odwróciła oczy od tego niebezpieczeństwa, o którym — jadąc tu — nie pomyślała zupełnie. Jest bowiem myśl o śmierci nieodzownej rzeczą możliwą — ale nie wtedy, nie wtedy, gdy nadciąga wiosna, pogodnego umierania wróg słoneczny i nieprzebłągany.

Nareszcie przyszedł tragarz, niosąc odebrany z bagażu kuferek drewniany, porwał z ziemi oba tłomoki i ruszył przodem przez stację. Poszła za nim, stukając szcudłami o kamienną podłogę poczekalni. U podjazdu wynajęła mizerną chłopską furkę, targując się niedołąźnie o cenę jazdy do niedalekiej osady podmiejskiej.

Mieszkała tam jej siostra zamężna, której nie widziała przez parę lat. Od śmierci matki nie napisała też do niej ani jednego listu. — Jakie będzie przyjęcie — nie mogła nawet przewidzieć. Co powie szwagier, człowiek nieznamy, zapewne prosty zupełnie, — na widok kaleki, zwałającej się niespodzianie na plecy. A siostra była jedynym na ziemi blizkim człowiekiem. I u niej jedynie spędzić mogła te parę ostatnich miesięcy życia.

Mozolnie usadowiła się na siedzeniu ze snopka słomy. Koła zazgrzytały po bruku. Wóz wtopił się w mroki wązkich uliczek.

Poznawała stare domki znajome, fizjognomję dachów, płotów i kominów, rozróżniła barwę błękitną i słodki smak dymu torfowego. Zapadała się w te same kałuże, odczytywała szyldy. Ale głowa jej owinięta już była myślą o śmierci, jak czarnym woalem.

Świadomością płynęły dzieje niepojęte cierpienia, niedawne wizje godzin straszliwych, spędzonych w popielato czerwonym mieście mających umrzeć.

Lakierowane ściany szpitalnego pokoju były już zasnutę linjami jej spojrzenia, jak pajęczyną. Oczy umiały na pamięć zwiewne kontury matowych plam na farbie błyszczącej, minjaturowe góry ziaren piaskowych, sterzących z tynku i długie cienie, które rzucały przy zimowym słońcu. Ta sama pajęczyna niewidzialna spojrzenia wisiała na żelaznych ramach łóżka, okrywała ciemne, drobne desenie ceraty, leżącej na ziemi.

Emigracja rekrutuje się z ludzi najrozmaitszych sfer. Przeważającym jednak elementem społecznym jest inteligencja, a więc: ucząca się młodzież, nauczyciele, publicyści, lekarze i t. d. Są to więc ludzie, którzy za granicą nie mogą korzystać ze swoich zawodów; większość z nich nie otrzymuje zapomóg z domu lub otrzymuje niezwykle mało; przez to skazani są na opieranie swego materialnego bytu na formach zapomóg, wyżej skreślonych.

Przybywający emigrant przez pierwsze miesiące nie chce godzić się z położeniem.

Poczyna szukać zajęcia, usiłuje nawiązać stosunki, gotów jąc się najuczulsiwszej pracy na wszelkich warunkach. Lecz zazwyczaj krzątania ta kończy się na niczem. Wówczas powoli, stopniowo emigrant taki aklimatyzuje się, godzi się z losem, wreszcie machnie ręką i staje się podobnym do pozostałych rzesz wychodźców, żyjących z dnia na dzień. Bardziej uparci, hartowni, nie tracą energii, mają się wypadkowo otrzymanej pracy i na jakiś czas wyzwalają się z otaczających warunków.

Znam wypadki, kiedy inteligent dostał się do drukarni i wyuczył się zecerstwa. Inny dostał się do fabryki albumów. Są tacy, którzy zdobywają środki do życia fabrykacją i sprzedażą papierosów wśród zamożniejszych Rosjan. Niektórzy trudnią się drobnym handlem, kolportowaniem pism lub przewożeniem mebli na ręcznych wózkach. Korespondent Komkow podaje takie fakty z życia emigrantów:

Np. dwóch byłych oficerów najęto się, jako służący do restauracji. Usługiwali przez dzień cały gościom, a następnie do późnej nocy zajęci byli czysz-

zeniem naczyń stołowych. Za pracę tę otrzymywali 30 fr. miesięcznie i jadło dwa razy dziennie²⁾.

W Szwajcarii trzech emigrantów, inżynier, lekarz wojskowy i prawnik, drogą nadzwyczajnych zabiegów—otrzymali robotę w kopalniach węgla w okolicach Zurychu. Za 15-o godzinną pracę w szachtach, która polegała na ciągnięciu 25-o pudowych tacek, otrzymywali 2 fr. (74 kop.) dziennie. Jeden z nich przetrwał pięć dni przy pracy, zaś dwaj pozostali — dwa dni; w końcu wszyscy trzej znaleźli się w szpitalu.

Niektórzy zrozpaczeni wychodzący wyrwywają się ze Szwajcarii i puszczają się piechotą do Włoch. Mając do przebycia przestrzeń 600-kilometrów, ludzie ci wychodzą bez większych zapasów żywności na czas dłuższy, posiadając zaledwie dwa, trzy franki w kieszeni. Byli tacy, którzy przebywali tę przestrzeń, żywiąc się liśćmi kapusty; lecz byli i tacy, którzy ginęli po drodze, przepadali bez wieści.

Spotkać można i takich emigrantów, którzy posiadający jako tako język francuski, udają się pod jesień na południe Francji w czasie zbioru winogron. Za kilkunastogodzinną pracę w polu otrzymują od 3 — 4 fr. dziennie i całkowite utrzymanie.

Beznadziejne położenie, w jakim się znajdują ci wychodzący, którzy nie otrzymują nawet nędznych zasiłków z kas, spycha ich do szeregów bezdomnych włóczęgów i żebraków ulicznych. Coraz częściej spotkać można ludzi o „miłej powierzchowności“, którzy przepędzają noce na ławkach bulwarowych, nie mając pół franka na hotel w zaułku paryskim. Ci nie podchodzą do prze-

²⁾ Obrazowanie № 12 str. 80.

Przy łóżku wędła tam tygodniami jedna chryzantema, którą przyniósł ktoś dobry — już dawno. Przepaść która padła pomiędzy chorą a tym królewskim kwiatem ziemi, rozszerzyła się już tak bardzo, że przestała być straszna — jak była w owym pierwszym dniu, gdy z przypuszczeń i podejrzeń wyrosła wreszcie dzika prawda. Druga krawędź — krawędź z ową chryzantemą — usunęła się powoli w jakąś cudną, jasną nieskończoność. Nie patrzyła już w tamtą stronę — ze zmęczenia.

To straszne i złowieszcze osiadło w zatrutem gnieździe swoim i wypuszczało stamtąd po całym ciełe jadłowite gałęzie z ognia. Czują ich drogi śmiertelne, wywierane w tajemnych ciemnościach organizmu, przyjmowała w ognisko świadomości ukłucia sztyletowe aż po palce stóp. Widziała kolce tych gałęzi, przebijające później skórę bladuróżową, aksamitną, rozkwitające tam nagle w kwiaty ran, w straszliwe róże z purpurowej krwi i ropy gryzącej. Pamiętała zawsze, pamiętała o każdej chwili tych dni piekielnych, że umrze. I przyzwyczaiła się do śmierci.

Była to rzecz, okupiona wielką głębokością cierpienia, rzecz bardzo drogocenna. Dlatego nie chciała już ponownie przywykać do życia. Życie jest straszliwym niebezpieczeństwem, groźną, zdradną mocą. Czyż można odważyć się jeszcze i na wiosnę?

Zrobiło się ciemno. Wyjechali już poza ostatnie zabudowania przedmieścia. Naokoło rozwarły się szerokie, płaskie, nagie pola. Księżyc wschodzący, czerwonożłoty, odbił się w niewidzialnej wodzie, rozlanej gdzieś u horyzontu. Widać było suche trawy, przecinające zamarłą w księżycu powierzchnię. Wiatr ucichł zupełnie. Powietrzem słańiały się wciąż te same zatru-

żające, jasne i chłodne zapachy, wieszczące niedaleką wiosnę.

Od wieści tej odzęgnywała się z lękiem, jak od potępionej czarnoksięskiej pokusy. Do obrony przed tym fascynującym czałem niemymownego okrucieństwa przyzywała na pomoc pamięć tryumfalną godzin mądrości, w których zgłębiła była państwo tajemne cierpienia.

Ból rozpoczynał się zwykle gdzieś niedaleko pod poziomem myśli, wytryskał jasnym płomieniem, rozżarzał się w jakimś cichem, szerokim wirowaniu. Wierzch tych płomieni, porwany lejem powietrznym, odwracał się do dołu, a w tętnie wiru płonęła szeptana obietnica, że tym razem ogień dopadnie już dna, samego dna — — — Było to jakby taneczne przybliżanie się, by odskoczyć, jakby groźba, wyjawiana z uśmiechem, rozkołysane czajenie się do skoku w owo serce ostatnie, odmierzające straszliwy czas ciężkimi, matowemi uderzeniami pulsów. Działo się wszystko na samej krawędzi wrażliwości człowieczej, pochylone nad dziką przepaścią niepojętego, mogące w chwili każdej przejść śmiertelną granicę możliwości, zapaść się w czarne morza obłędu.

Nigdy jednak owo wirowanie w głąb nie dopadło serca. Byłaby to zapewne już śmierć. Na drodze leżało tam — jakby na straży życia — zdarzenie dziwaczne i dobroczynne: w chwili pewnej, w chwili zapewne ostatniej, cierpienie zniemacka przekręcało się w rozkosz.

W dziejach umęczonego ciała był to moment, w którego potworność wnikała wszystkimi władzami z niemą zgrozą.

Proces cierpienia rozpadał się wówczas na dwie rzeczy. Przyczyna bólu pastwiła się jakby nad jego przedmiotem. W tem straszmem, co się działo, była

chodniów z prośbą o datkę. Są jednak i tacy o „inteligentnym wyglądzie“ ostatecznie zrezygnowani, którzy wieczorami zwracają się do spacerowiczów z prośbą o jałmużnę na chleb.

Rosjanin, spotykający tych niezwyklej zebrałków udziela datki w formie pomocy koleżeńskiej; lecz przeciętny epicier francuski, nienawidzący „wichrzycieli rosyjskich“, traktuje takich rozbitków jako zawodowych widwigroszów lub szantażystów.

*
* *
*

Podobny stan rzeczy wytworzył ciężką atmosferę, która sprzyja rozwojowi nienormalnych stosunków między wychodźcami. Naogół daje się odczuć brak regulujących trybów, brak norm obyczajowych, któreby ustanawiały pewien porządek na emigracji. Natomiast nerwowy nastrój rozpanoszył się w życiu wychodźców; od nastroju chwili, od drobnego wypadku stają się zależne zmienne formy współżycia. Trzeba bowiem zauważyć, że zagranicą, bardziej niż w Rosji, ludzie, podzieleni według przekonań partyjnych, i nie tylko partyjnych—lecz według poglądów taktycznych w łonie jednego stronnictwa, żyją w oddzielnych kolonijkach, utrzymują stosunki jedynie z członkami swoich grup. Dzięki temu wytwarza się dziś pewna izolacja, rozdział wśród emigrantów. I chyba tylko w wyjątkowych chwilach, kiedy zachodzi wypadek o znaczeniu „ogólnorosyjskim“ lub „ogólnokolonjalnym“—ludzie ci wychodzą z za ogrodzenia swych grup i łączą się na jednym gruncie.

Lecz chwile te zachodzą obecnie coraz rzadziej.

W latach ubiegłych emigracja polityczna żyła życiem rosyjskim. Epokowe wypadki, które stały się treścią dramatu społeczno-politycznego w Rosji,—na emigracji stawały się treścią intensywnego życia umysłowego. Atmosfera wówczas panująca w kolonjach wychodźców jaknajwięcej sprzyjała zbiorowej działalności, wytwarzała nastroje podniosłe i wpływała na stosunki w ten sposób, że epizody lokalne przechodziły bez wrażenia, bez takiego znaczenia, któreby mogło przykuć powszechną uwagę.

Sprawy wychodźstwa bladły i ustępowały miejsca rzeczywistości rosyjskiej, brak urzędzeń i odpowiednich instytucji wydawał się wówczas niczem wobec braków w ojczyźnie, zadania lokalne malały i schodziły na plan ostatni wobec zadań społecznych w kraju.

Natomiast w chwili obecnej sprawy te przedstawiają się inaczej. Bieg rzeczy usunął monumentalną panoramę z widowni politycznej, złożono dekoracje i ustąpiła historyczna akcja. Widzowie na emigracji porzucili swe miejsca i zeszli na grunt kolonjalny. Ostatnie lata, jak i doba dzisiejsza, nosząca miano „czasów upadku“—poczyniły znaczne zmiany na emigracji.

Pomijając to, że wielki napływ wychodźców podzielał na ogólny charakter życia zagranicznego, całokształt warunków miejscowych sam przez się przeobrażał się stopniowo, odwracał się, poruszany jakimś niewidocznym mechanizmem, i w chwili obecnej przedstawia rażące przeciwieństwo do całokształtu warunków z minionego okresu,—został odwrócony do góry dnem.

Co dawniej nie miało żadnej doniosłości, dziś nabiera olbrzymiego znaczenia; co przedtem było przed-

niby świadoma wola czyjaś—a w samym wycuciu woli czaiła się rozkosz.

Drzała jeszcze teraz na pamięć tej chwili, przerażającej zarazem i cudnej. Był bowiem tryumf jakiś, było zwycięstwo w owej bierności bólu, dalekiej od rezygnacji, było rozwieranie się drzwi przeraźliwych do jakiejś jaskini purpurowej, do błyszczącego świata najważniejszych tajemnic. Tam dusza patrząca, dusza wężąca śmierć—jak zwierzę lasu, drętwiała u tych drzwi, z czołem przywartem do zimna ram. I wyczuwała wówczas owe ostateczne sprawy świata, rzeczy najdalsze.

A potem nastawały powroty, ciężkie powroty wgórę po fantastycznych szczeblach cierpienia. Wspinająca się, dysząc. Płomienie bólu zagasały w jakichś ciemnościach. Świadomość wyłaniała się z podziemi na pustą, szarą płaszczyznę. Ciało odpoczywało drętwie, osłabione—jak odrzucony instrument bólu, grat niepotrzebny.

Wtedy śmierć mogła sobie być przyjść—bezkarna i łatwa. Ściśnięcie leciutkie serca, zdławienie gardła, westchnienie zaledwie słyszalne. — — —

I jednak—przewidywana długo—nie przyszła jeszcze. Po amputacji nogi inne rany zarosły cienką, błyszczącą, skórą czerwoną podobną do bibułki. Chorą wypisano ze szpitala. Ach, z jakim zmęczeniem dziwnym i bezradnym odchodziła od tamtej bramy — — — Lekarz przyjemnie zdziwiony polecił jednak zgłosić się natychmiast w razie, gdy tylko coś się okaże. Polecenie to wbiło się w pamięć jej, jak drzazga. Każdego dnia, każdej chwili oczekiwała z głębi ciała idącego sztyletowego dreszczu, złowrogiego hasła powrotu pod tamto panowanie.

Czasami mękę niewymowną sprawiało jej uwierzenie samo, że wszystko to naprawdę jest rzeczywistością. Myśl cicho, nieustannie, jastrzębio i królowie krążąca dokoła śmierci, zniżająca się bezszelestnie nad tajemnicą, odpływająca wielkimi kołami ku straconemu słońcu i wracająca znowu, zagarniała państwa coraz rozleglejsze. W męce tej dusza stawała się bogata, inna, skomplikowana, wiedząca. Wydelikacnym zmysłem stały się dostępne barwy, wyczuwane zamkniętymi powiekami, zapachy, doznawane głaskaniem rąk, zestawienia, oszłamniające w niespodzianej, bezsłownej swojej piękności, perspektywy niepojęte, aleje tęsknot, o których wiadomo, że nie kończą się na kracie złoczonej muru świata, ale wychodzą poza nią na drugą stronę nieskończoności i tam spadają w głębokość jakąś bezpowrotną razem ze swymi precudnymi drzewami. — — —

Chłop zatrzymał konia. Przed oczami wyrósł w księżycu ciemny dom oplątany bezlistnymi gałęziami. Nikt nie zjawił się na turkot wózka, chociaż w dwóch oknach błyszczało światło.

Weszła na schody. Minęła się. Z kuchni wprowadzono ją do jadalni.

Cała rodzina drobnego dzierżawcy zgromadzona była przy wieczerzy. Troje rumianych, pyzatyh dzieci, barczysty pan domu, siostra w ciąży.

— Bój się Boga, co się z tobą zrobiło, Helena — wołała, zrywając się od stołu.

Przyjezdna chwiała się bezsilnie na swoich szczytach, głowę oparła o ścianę.

miotem wyłącznej uwagi i pracy — obenie bagatelizuje się, co dawniej wzbudzało entuzjazm, uniesienie — dziś wzbudza niesmak, wydaje się jałowem.

Henryk Lukrec.

(D. c.)

NEOMALTUZJANIZM A KWESTJA SPOŁECZNA.

Propaganda neomaltuzjanistyczna ściąga na siebie od pewnego czasu uwagę ogółu.

Z Francji, głównego jej ogniska, rozchodzi się po całym świecie, znajdując niemal wszędzie jawnych lub tajnych zwolenników, przedewszystkiem w warstwach zamożnych.

Wynik tej propagandy ujawnia się w mniejszym lub większym spadku stopy urodzeń, co się daje zauważyć, w nierównym zresztą stopniu we wszystkich niemal cywilizowanych krajach¹⁾.

Lecz właściwie tylko w dwóch państwach, Francji i antypodzie jej, Australji — gdzie powodzenie neomaltuzjanizmu przeszło wszelkie oczekiwania, powodując zupełny niemal zastój w przyroście ludności — fakt ten stał się najbardziej palącą kwestją dnia.

Sprawa ta jest szczególnie interesująca przez to, iż neomaltuzjaniści, zwłaszcza we Francji, starają się hasła swoje — świadomego regulowania ilości urodzeń, jako najradykałniejszego środka na wszystkie bodaj bóle ludzkości — powiązać z rozstrzygnięciem kwestji społecznej, stając na gruncie współczesnego socjalizmu. Postaramy się pokrótce streścić ich poglądy na tym punkcie. Klasa robotnicza powinna przygotowywać wszystkie warunki swojego wyzwolenia *świadomie*, albowiem świadomość — obok organizacji — jest jej głównym orężem w ofiarnym zmaganiu się z ustrojem dzisiejszym. Otóż warunkiem zasadniczym, nieodzownym, aby klasa robotnicza była silnie zespoloną i ożywioną duchem walki, jest ograniczenie bezwzględne jej zdolności rozrodczej, która pozostawiona samej sobie prowadzi przez nierozważne płodzenie się do przepelnienia rynku roboczego i, co za tem idzie, do obniżania zarobków i pogarszania warunków pracy. I rzeczywiście ilekroć dzięki swej organizacji politycznej i zawodowej, ofiarności swych członków i wytrwałości w walce z warstwami uprzywilejowanymi, zdołała ona uzyskać dla siebie pewne ustępstwa, natychmiast prawie zaczyna tracić jedną po drugiej zdobyte pozycje na skutek własnej nieogłędności, mnożąc się ponad miarę. Zjawisko to powtarza się z taką prawidłowością, iż powinno wreszcie pouczyć klasę robotniczą, gdzie należy szukać przyczyny jej niepowodzeń. Jeżeli bogata burżuazja, aby nie rozpraszać swych majątków, świadomie reguluje popęd płciowy, jednocześnie obłudnie zalecając klasie robotniczej jak największe rozradzanie się „dla zbawienia ojczyzny“, to w interesie klasy robotniczej leży właśnie naśladować w tym wypadku taktykę swego przeciwnika klasowego, wyraźnie wskazującego, iż w niej samej najgorszy jej wróg się kryje.

Ograniczając swą zdolność rozrodczą do minimum, a jeszcze lepiej zupełnie zaprzestając rozmnażać się przy zachowaniu naturalnie stosunków płciowych, i tylko zapobiegając poczęciu przez umiejętne stosowanie odpowiednich środków w sam moment obcowania, zwęży proletariąt znakomicie podaż rąk roboczych z drugiej strony, podkopując tem ekonomiczną potęgę burżuazji, ilość opodatkowanych i żołnierzy z drugiej, godząc w ten sposób w warunki polityczne jej panowania. Jednocześnie zaś zmniejszenie się — lub zanik — ilości

członków przeciętnej rodziny robotniczej, podnosząc jej stopę życiową, da możność proletariatowi odbiedz od kłopotów domowych i więcej czasu oraz sił poświęcić walce o dalszą poprawę swego bytu, uczyni go „kampflustig“. I tylko wtedy położenie jego zmieniać się znacznie zasadniczo na lepsze, o ile uzyskane ustępstwa wzmacniać będzie przez systematycznie i świadomie stosowanie wskazań neomaltuzjanizmu, który żąda opanowania przez rozum ludzki tej dziedziny, gdzie dotąd nieograniczony popęd dominował.

Jednocześnie drogą tą postępuje wyzwolenie nie tylko klasy robotniczej, lecz i płci niewieściej, dla której ustawiczne macierzyństwo jest najcięższym brzemieniem, pozbawiającem ją zdolności do walki o byt i co gorsza czyniącem z niej i dzieci, które nieopatrznie rodzi, najpotężniejszą konkurencją w łonie proletariatu.

Rozumowanie powyższe na pozór jest zupełnie przekonywające. I dopiero trzeba się przyjrzyć losom tych narodów, które energicznie praktykują neomaltuzjanizm, aby dojść do przeciwnego wniosku. Otóż idealnym krajem neomaltuzjanizmu jest — obok Francji — Australja. Już od szeregu lat ten olbrzymi i bogaty, lecz słabo zaludniony ląd, przykuwa do siebie uwagę powszechną z powodu wspaniałego rozkwitu swych instytucji społecznych, wielkiego dobrobytu mieszkańców oraz wysokiego znaczenia politycznego klasy robotniczej i płci niewieściej. Rozwój ten szedł równoległe z postępowaniem neomaltuzjanizmu, który wywołał kolosalny spadek rodzajności („natalité“), a ponieważ w dodatku zakazowe prawa emigracyjne wstrzymują dopływ ludności z zewnątrz, więc faktycznie kraje te — laboratorium społeczne — dokonywają eksperymentu neomaltuzjanistycznego na wielką skalę, redukując niemal do zera naturalny przyrost ludności. Zdawałoby się, iż ideał został osiągnięty i nic nie stoi na przeszkodzie do ostatecznego wyzwolenia się klasy robotniczej. Lecz całkiem na odwrót stamtąd właśnie dochodzi do nas okrzyk rozpacz: widmo śmierci zawisło nad niemi. Samolubne zamknięcie drzwi przed współtowarzyszami z Europy wykopło przepaść między niemi a robotnikami Australji, ograniczenie zaś urodzeń czyni ją bezsilną wobec kulturalnie niższych, lecz zato ogromnie płodnych ras azjatyckich, zwłaszcza od czasu przeistoczenia się Japonji na wielką potęgę polityczną. A właśnie przeciwko „żółtym“ przedewszystkiem wydano ostre prawa zakazowe! Dla obrony swego stanowiska musi Australja za zgodą klasy robotniczej obecnie wstąpić na śliską drogę militarystyki, który całym ciężarem legnie na barki proletariatu i uczyni złudnym jego zdobycie. Z drugiej strony wspólne niebezpieczeństwo, zbliżając do siebie proletariąt i burżuazję, stępi ostrze walki klasowej, odciąga masy robotnicze od jego wysokiego ideału społecznego. Nadmiar zastój w przyroście ludności prowadzi do ograniczenia produkcji, pogarszając tem samem położenie mas pracujących, których los ściśle jest uzależniony o rozwoju handlu i przemysłu. Następnie kraje bogate, lecz słabo zaludnione, zwykle padają pastwą swych licznie silnych, ale niezbyt zamożnych sąsiadów. Dla nikogo nie jest tajemnicą, iż obecny rozwój Francji w „próżni“ grozi poważnymi zakłóceniami w Europie oraz pozbawia ludzkość jednego z jej najzdolniejszych i najniezbędniejszych członków.

I okrzyki tryumfu, jaki wydają neomaltuzjaniści z powodu tego, iż w roku ubiegłym ilość zejść o 20 tysięcy przewyższyła liczbę urodzeń we Francji, mogą tylko zgrozić i oburzenie wywołać u tych, którym drogi jest postęp ludzkości.

Jeżeli francuska klasa robotnicza się nie rozmnaża, to nie znaczy to, iż zmniejsza cokolwiek współzawodnictwo w swem łonie, miejsce nieurodzonych zajmują cudzoziemcy, którzy ustawicznie obniżać będą jej „standard of life“.

Wszelkie zaś próby wstrzymania napływu „obcych żywiołów“ drogą prawną, prowadzą tylko do rozbicia

¹⁾ Nawet w kraju tak znanym z płodności swych mieszkańców, jak Włochy, spostrzegamy to samo zjawisko: stopa urodzeń z 38% (na tysiąc) w 1875 spadła do 32% w 1901.

solidarności międzynarodowej proletariatu i do zatargów politycznych, a nawet wojen. W ten sposób błędne koło powstaje, z którego niema wyjścia, albowiem propaganda neomaltuzjanistyczna przyjąć się może *tylko w kulturalnie wysoko rozwiniętych społeczeństwach i to nie zawsze, a jest zupełnie nieprzystępną dla ludów o niskim poziomie cywilizacji.* Tym sposobem neomaltuzjanizm jest najlepszym środkiem na przyspieszenie upadku najbardziej rozwiniętych krajów, co nie może leżeć ani w interesie ludzkości, ani też klasy robotniczej. Może być ona użyteczną dla poszczególnych jednostek, którym przypadkowe okoliczności nie pozwalają na założenie rodziny, lecz nigdy dla narodów ani dla klas. Historia starożytnego Rzymu, który za pomocą specjalnych praw bezskutecznie starał się zapobiedz zanikowi ludności rdzennej i runął w końcu pod naporem barbarzyńców, jest pod tym względem wysoce pouczającą. Powinna być ona przestrożą dla krajów, uprawiających neomaltuzjanizm.

Juljan Unszlicht.

E C H A.

SUKCESY PANA DEIBLER'A.

Mistrz Deibler rozpoczął swoje tournée po ziemi ojczyściej w roli krwawego wysłannika sprawiedliwości francuskiej. Przyjechał do miasteczka Béthune, ustawił gilotynę i z nadzwyczajną wprawą i olimpijskim spokojem w ciągu dziewięciu minut ściał cztery głowy przestępców. Mieszkańcy Béthune, którzy pędzą żywot w szarej monotonii miasteczka prowincjonalnego, radzi okazji niezwykłego widowiska, na kilkanaście godzin przed egzekucją oblegali miejsce kaźni. Gilotyna stała się nie tylko miłą rozrywką, lecz także wyrazem zemsty tłumów nad dokuczliwą i zwyrodniałą jednostką. Zemsta w czasie egzekucji nosiła cechy naigrywania się, bowiem okoliczni górale ściągnęli z orkiestrą pod gmach więzienny i urozmaicali czas nie tylko sobie i współobywatelom, lecz również i ostatnie chwile skazańcom. O wysokim stopniu radości widzów świadczą okrzyki na cześć oprawców; siłą przyjemnego obrażenia określa pijatyka mieszkańców, którzy dzięki rozporządzeniom władzy lokalnej, mogli przepędzić wesoło czas do białego ranka w kawiarniach i restauracjach. Monsieur de Paris po dokonaniu dzieła złożył wraz z pomocnikiem maszynę i w parę godzin opuścił Béthune. Mieszkańcom p. Deibler pozostawił miłe wspomnienia, które kojarzyć się będą z osobami przestępców, z widokiem przedśmiertnych mąk, strachu i omdlewań skazańców na widok ordynarnej „wdowy“.

Pan Deibler po wizycie w Béthune zawitał do miasteczka Carpentras w północnej Francji w celu wykonania egzekucji nad mordercą Danrers'em. Scena stracenia przedstawiła się jednakowo, jak w Béthune.

Nieopodal więzienia ustawiono gilotynę; wokół niej zbrali się wykonawcy wyroku — oprawca z pomocnikami, urzędnicy; tuż adwokaci, lekarze, dziennikarze — (inteligencja); dalej, po za kordonem kawalerji tłumy widzów. Orkiestry i okrzyków tym razem nie było, lecz w chwili, kiedy głowa skazańca potoczyła się do kosza, wśród publiczności dały się słyszeć oklaski...

Mieszkańcy Béthune i Carpentras winni być wdzięczni za te urozmaicone chwile: Prezydentowi Republiki za własnoręczne podpisywanie wyroków, prawodawcom z Izby Deputowanych za utrzymanie w kodeksie karnym prawa, karzącego śmiercią przestępców, sprawiedliwym sędziom francuskim za organizowanie widowisk teatralnych dla znudzonych mieszkańców, podczas których ujawnić się mogą czyste, lecz barbarzyńskie instynkta, wreszcie p. Deibler'owi, który w mistrzowski sposób,

nieplamiąc krwią rękawiczek, pozbawia życia przestępców, rozgrzeszonych coprawda przed śmiercią przez kapelana więziennego.

H. L.

POD OPIEKĄ NIEPOKALANEJ PANIENKI.

Na jednej z pryncypalnych ulic miasta naszego mile wabi oko arkadowa kamienica, dumnie górująca nad okolicą. W licowej jej wnęce Królowa Niebios tuli swe boskie dziecię, dając publiczne świadectwo nie tyle artystycznego smaku właściciela kamienicy i figury, ile jego pobożności i rozczulającej wdzięczności za tyle łaski i dobrodziejstw. Bo oprócz ładnego domu bozia obdarowała go ładnym magazynem, w witrynach którego tęczowemi blaski mienią się drobne precjoza — przedmiot pożądliwych westchnień matron i kokot, artystów i alfonsów, endeków i pedeków, Azewów i Bakajów. Temu solidnemu reprezentantowi podstaw społecznego ładu i porządku — religji i własności — właściwy walor i koloryt nadaje mniej demonstracyjny, ale tem więcej dopominający się o światło dzienne ciekawy stosunek do — rodzony brata. Obaj zrodzeni w ubóstwie, starszemu jednak los zesłał „bogatego wujaszka“ (no, i wujenkę), którzy go w końcu wraz z majątkiem adoptowali. Znacznie młodszego brata, po śmierci matki, „przygarnął“ pan kamiecnik. W splocie krzywd, upokorzeń, posług w sklepie i mieszkaniu, znęcań się przy akompaniamencie nawet bata, upływała ta braterska opieka. Gdy we wspaniałych apartamentach gasły światła, dopiero mógł znużony chłopiec spocząć na tapczanie w przedpokoju nieopalnym. Kierując się wstydem przed obcemi, zabronił nazywać się po imieniu, a na uwagę: „jakiś ty pan dla mnie? jedno nas łono nosiło i wydało na świat,“ — grad razów i wymysłów spadał w odpowiedzi. Takie to kwiaty uczuć rodzinnych i ludzkich kwitną w pobożnym domu pobożnego pana pod skrzydłami Najśodszej Paniienki.

HISTERO-FEMINIZM.

Na odbytym niedawno Zjeździe kobiet w Petersburgu odczytany został między innymi referat p. J. Szczawińskiej-Dawidowej z Warszawy, z ruchu kobiecego w Polsce. Przedstawiwszy pokrótce genezę tego ruchu w nowszej jego fazie w związku ze stanem społeczeństwa naszego po r. 1863, autorka zatrzymała się obszerniej nad mniej znanym jego epizodem t. zw. uniwersytetu latającego, który przez czas pewien w Warszawie jedyną dawał kobietom sposobność wyższego kształcenia się. Zaznaczone dalej zostały wybitniejsze objawy działalności kobiet naszych na polu naukowym i społecznym, a kończył się referat wzmianką: „Wypada jeszcze wspomnieć o grupie istniejącej od r. 1882 t. zw. feministek, kierunek ten ruchu nie pociągnął gorętszych i bardziej postępowych kobiet działaczek, które interesowały się więcej sprawami ogólnoludzkimi, narodowymi i społecznymi, lub pracowały naukowo. Feminizm nie zyskał u nas sympatji ani popularności“.

Wiemy zaś ze sprawozdań, że zjazd petersburski miał charakter przeważnie „damski“, lwia część rozpraw jego poświęcono sprawom, interesującym przedewszystkiem panie z towarzystwa, i nieliczne przedstawicielki kobiet pracujących zbyt mało znalazły zrozumienia wśród żywiołów na zjeździe dominujących. Zjazd też dobitnie stwierdził illuzyjność powszechnej solidarności kobiet na gruncie rzekomo wspólnych ich interesów, wobec czego, jak wyraził się nasz sprawozdawca, „jedynym praktycznym owocem zjazdu jest przeświadczenie, że kobiety różnych klas społecznych razem pracować nie mogą;

PRACOWNICY ROLNI.

W d. 13 stycznia 1907 r. zawiązane zostało „Towarzystwo wzajemnej pomocy pracowników rolnych“, które d. 31 stycznia r. z. na specjalnym zebraniu nadzwyczajnym przedstawiło sprawozdanie za pierwszy rok działalności t. j. do 1 stycznia r. b.

W okresie tym zorganizowano 18 oddziałów prowincjonalnych, (w których towarzystwo liczy przynajmniej 100 członków), obejmujących i działających w 44 powiatach.

Pozatem utworzono specjalną instytucję p. n. „Stowarzyszenie Emerytalne pracowników prywatnych“, zorganizowano wydział pośrednictwa pracy przy instytucji centralnej i przy wielu oddziałach. Wreszcie już w r. b. założono „wydział najemników sezonowych“.

Tak się przedstawia rzeczowo działalność Tow. wzajemnej pomocy pracowników rolnych.

Z pozoru wygląda ona okazale; w gruncie rzeczy jednak nie jest taką. Złożyło się na to wiele przyczyn; za pierwszą i zasadniczą uważamy połączenie w jednej instytucji i pracobiorców i pracowników. Ci pracobiorcy przytem grają rolę bardzo poważną w towarzystwie, bo wielu z nich należy do Rady (że wymienię tu tylko hr. Zygmunta Platę, hr. Juljusza Tarnowskiego i hr. Władysława Zamoyskiego). Rzecz prosta, że panowie ci nie dla jakichkolwiek idealnych pobudek należą do towarzystwa, a wprost przez dobrze zrozumiany interes własny; obecność ich jest milczącym „memento“ dla tych zuchwalców, którzy mogliby zapomnieć na chwilę, że są tylko oficjalistami i że „chlebowawcom“ swym winni wdzięczność i posłuszeństwo. Że tak, a nie inaczej rozumują nasi szanowni ziemianie, świadczy fakt, że na zebraniu niedzielnym nieśmiało tylko podnosiły się głosy o „koszuli bliższej ciała“ i o potrzebie zajmowania się przedewszystkiem sprawami zawodowymi, a dopiero potem akademickimi kwestjami o nawożeniu i drenowaniu, dla których roztrząsania miejsce w Towarzystwach Rolniczych, a nie na zgromadzeniach Związków Zawodowych. Postyszeliśmy tylko jeden głos śmielszy, który wyraził oburzenie z powodu niedopuszczenia przez „ziemian“ kujawskich swoich pracowników do przybycia na zjazd. Z za stołu prezydjalnego wyrażono im nagannę (fakt był zbyt jaskrawy), naszym zdaniem jednak „ziemianie“ ci mają przynajmniej zasługę szczeroci.

Drugim powodem małej popularności Towarzystwa pracowników rolnych jest stanowisko oficjalistów (bo tak ogólnie ich nazywają) względem swych chlebowawców.

Rodzony dziad piszącego te słowa „ekonomował“ po dworach szlacheckich na Litwie; pobierał on od 60 do 100 rubli rocznie pensji, stał w progu gabinetu „dziedzica“ i mówił mu „jaśnie panie“. Jak się wam zdaje, czytelnicy, czy w takich warunkach może się wyrobić poczucie godności osobistej i świadomość interesów własnych? Nie myślcie przytem, że było to zbyt dawno; od owej chwili upłynęło lat 15—20. Być może, że obecnie jest lepiej, i obecnie jednak t. zw. oficjaliści rolni utożsamiają swoje interesy z interesami swych „chlebowawców“, co ujawniło się, pomiędzy innymi, podczas strajków rolnych w r. 1906, kiedy służba kapotowa szczyła psami tych, którzy przychodzili bronić interesów służby siermiężnej.

Jeszcze jednym dowodem, do czego dąży i czego pragnie „Tow. wzajemnej pomocy pracowników rolnych“ jest zorganizowanie przy niem t. zw. „wydziału najemników sezonowych“.

Wydział ten ma za zadanie (cytujemy według „Kurjera Warszawskiego“) „zapewnienia niezbędnej liczby rąk roboczych do pracy na roli w kraju“. Zapytujemy—jaki to ma związek z „pomocą wzajemną pracowników?“ Jest to pomoc, ale dla pracodawców. Pracownicy stracą tylko, jeśli sezonowa armja proletariatu rolnego, którą głód pędzi corocznie „na saksy“, zostanie w domu.

Przypomina mi się wypadek z przed laty 10, jaki spotkał pewnego młodego dziennikarza, przyniósł on redaktorowi klerikalno-zachowawczego organu artykuł wykazujący korzystne dla ludu wiejskiego strony emigracji zarobkowej. Redaktor ów odpowiedział po przeczytaniu artykułu: — To niepójdzie; chłop jest po to, aby siedział na roli i nie bałamucił się obcemi nowinkami. Radzę panu z takimi ideami nie występować.

Wszystkie te powody składają się na to, że ożywiona z pozoru działalność Tow. wzajemnej pomocy pracowników rolnych jest w istocie bardzo skromna; budżet naprz. za rok 1907 zamknięto niedoborem, pomimo że wydatki nie wynosiły nawet 2,000 rubli, co przy 3,000 członków jest sumą nadzwyczaj małą.

Niedobór ten przy tak skromnym budżecie dowodzi raz jeszcze, że różni utytułowani obszarnicy będący członkami „Towarzystwa wzajemnej pomocy pracowników rolnych“ są tam nie po to, aby wspomagać „maluczkich“, ale ze zgoła innych powodów.

Obrady zjazdu niedzielnego wlokły się ospale i oficjaliści rolni zahypnotyzowani miodopłynną wymową pana prezesa Antoniego Hempla, byłego posła lubelskiego i właściciela dóbr ziemskich i p. Józefa Kączkowskiego, wiceprezesa i inżyniera — odzywali się rzadko i nieśmiało. Przyczynił się do tego i porządek dzienny, przeładowany takimi kwestjami, jak „O wiosennem użyciu nawozów sztucznych“, „Znaczenie związków kontroli obór“, „Znaczenie stosowania wyników istotnej nauki i wiedzy w rolnictwie“. Najciekawszy referat p. t. „Środki poprawy bytu pracowników rolnych“ nie odbył się.

Okazuje się, że wiele jeszcze wody upłynie zanim pracownicy rolni zrozumieją, czem są i dokąd dążyć powinni.

X.

SPRAWA AZEWA.

Przytaczamy jeszcze pominięte poprzednio ustępy w interpelacji w Dumie:

„W proklamacji swojej z dnia 8-go stycznia r. b. komitet centralny partji socjalistów-rewolucjonistów podawał do wiadomości publicznej, że Eugenjuszowi, synowi Filipa Azewowi, lat 38 (przezwiseko partyjne „Tolstjak“, „Iwan Nikołajewicz“, „Walentin Kuźmicz“), będącemu członkiem partji od pierwszej chwili powstania jej, wybieranemu niejednokrotnie do organów centralnych, będącemu członkiem organizacji bojowej i komitetu centralnego, udowodniono przynależność do rosyjskiej policji politycznej, wobec czego uznano go za ajenta prowokatora. W proklamacji z dnia 20-go stycznia r. b. tenże komitet centralny, uznając się za skompromitowanego współpracownictwem Azewa, ogłasza, że uważa za obowiązek swój w najbliższym czasie złożyć pełnomocnictwa swoje. Z drugiej strony grupa partyjska tejże partji powzięła d. 22 stycznia r. b. uchwałę następującą:

„Z uwagi na to: 1) że uznanie faktycznego przywódcy organizacji bojowej i członka komitetu centralnego Azewa urzędowo przez tenże komitet za ajenta prowokatora jest równocześnie urzędowym uznaniem przerażającego zła, które przez długi szereg lat od chwili założenia partji gubiło towarzyszy zorganizowanych i całą partję, co jest bezprzykładnym w dziejach walki rewolucyjnej; 2) że prowokator ten korzystał z bezgranicznej władzy i powagi i dzięki temu mógł umieszczać rozmaitych współpracowników swoich we wszystkich organizacjach partyjnych — z uwagi na to grupa postanawia: 1) niezbędne jest niezwłoczne utworzenie czasowej komisji likwidacyjnej; 2) wszelka praca bojowa i konspiracyjna instytucji centralnych powinna być niezwłocznie wstrzymana do ukończenia prac komisji powyższej.

Oświadczenia powyższe komitetu centralnego socjalistów rewolucjonistów i paryskiej jego grupy uznać należy za zupełnie wystarczające do stwierdzenia faktu, że Azew był członkiem terrorystycznej organizacji rewolucyjnej. Fakt, że był równocześnie na służbie ministerjum spraw wewnętrznych w charakterze politycznego ajenta śledczego, znajduje potwierdzenie w liście b. dyrektora departamentu policji Łopuchina, zamieszczonym w dziennikach zagranicznych.

Z dokumentu tego poznajemy olbrzymią rolę Azewa, zarówno w partji rewolucyjnej, jak i w służbie policyjnej. Dokumenty, pochodzące z kół rewolucyjnych, nietylko nazywają Azewa wybitnym, czynnym i wpływowym członkiem partji, faktycznym przywódcą organizacji terrorystycznej, ale ujawniają ów przestach, jaki owaładnął kołami rewolucyjnymi po stwierdzeniu udziału Azewa w szpiegostwie politycznym. Z drugiej strony z listu Łopuchina okazuje się nietylko, że b. naczelnik departamentu policji od kilku lat zna Azewa, ale i to, że obecny naczelnik petersburskiego wydziału ochrony, generał żandarmerji Garasimow okazał wielki niepokój z powodu możliwego zdemaskowania Azewa w kołach rewolucyjnych i jako następstwa zdemaskowania tego, usunięcia go z kół tych.

Dowodem tegoż niepokoju w kołach rządowych, wywołanego zdemaskowaniem działalności Azewa, jest dokonana w nocy na 31 stycznia rewizja u Łopuchina, będąca niewątpliwie w związku z pogłoskami o projektowanej interpelacji w Dumie państwowej. Z listu Łopuchina okazuje się również, że Azew był ajentem Raczkowskiego, urzędnika departamentu policji, wydelegowanego do Paryża.

Z odezwy komitetu centralnego partji socjalistów-rewolucjonistów dowiadujemy się, że w czerwcu 1902 roku zarządzający policją rosyjską zagranicą Raczkowski zwrócił się listownie do departamentu policji z prośbą o wyasygnowanie mu sumy 500 rb. celem wniesienia jej przez tajnego współpracownika swego, znajdującego się osobiście z Gerszunim, do kasy partji socjalistów-rewolucjonistów. Współpracownikiem owym był Eugenjusz Azew. Z tejże odezwy komitetu centralnego dowiadujemy się o udziale Azewa w całym szeregu aktów terrorystycznych:

W końcu roku 1901 i na początku roku 1902 uczestniczył w opracowaniu planu kampanji zorganizowanego terroru, którego początkiem być miało zamierzone zabójstwo ministra spraw wewnętrznych Sipiagina. Od lipca roku 1902 Azew pracował w Petersburgu. Wraz z Gierszunim rozważał plany przedsięwzięć terrorystycznych: powtórnego zamachu na gubernatora charkowskiego ks. Oboleńskiego i zamachu na gubernatora ufańskiego Bogdanowicza. W tym okresie Azew był najbliższym pomocnikiem Gierszuniego w sprawie kierownictwa organizacją bojową.

Od stycznia roku 1904 Azew na czele powiększonej organizacji bojowej, do której weszli Kalajew, Sazonow, Potokilow, Schweitzer i wielu innych, organizuje zamach terrorystyczny na ministra spraw wewnętrznych Plewego. W listopadzie roku 1904 Azew, uzupełniwszy znowu szeregi organizacji bojowej, podzielił ją na trzy oddziały: pierwszy oddział wysłany został do Moskwy dla dokonania zabójstwa Wielkiego Księcia Sergjusza Aleksandrowicza; drugi—do Petersburga dla dokonania zamachu na generał-gubernatora Trepowa i trzeci do Kijowa, gdzie wykonać miał zamach na generał-gubernatora Kieigelsa. W lecie w roku 1905 Azew brał udział w organizacji masowego przewozu broni do Rosji na statku „John Craffton“. W styczniu roku 1906 Azew organizuje zamach na ministra spraw wewnętrznych Durnowo. Wówczas też następuje kilka nieudanych zamachów na generał-gubernatora moskiewskiego Dubasowa, po których Azew jedzie do Moskwy, by osobiście kierować dalszemi aktami terrorystycznymi. Zamachy są dokonywane. Na krótko przed rozwiązaniem pierw-

szej Dumy Azew organizuje zamach na ministra spraw wewnętrznych Stołypina.

Przychodzą tu mimowoli na pamięć podobne, choć mniej jaskrawe czyny Sudiejkina i Degejewa przed 25 laty. Podpułkownik żandarmski Sudiejkin, cieszący się wyjątkowym zaufaniem nie tylko ówczesnego dyrektora departamentu policji, późniejszego ministra spraw wewnętrznych Plewego, ale i ówczesnego ministra spraw wewnętrznych, hr. Tołstoja, łącznie z b. rewolucjonistą Degajewem, który potajemnie przeszedł na służbę departamentu policji, obmyślił, w celach wyłącznie osobistych, cały szereg aktów terrorystycznych“.

Interpelację „Trudowików“ i „S.-D.“ motywował *Pokrowskij* (2) w sposób następujący:

„Prowokacja jest zastarzałym i bardzo rozpowszechnionym złem w rosyjskiej polityce państwowej. W ciągu ostatnich dwu lat posiadliśmy cały szereg wskazówek, jak często i szeroko korzysta rząd z prowokacji. Zebraliśmy te dane, nie bacząc na to, iż śledztwa polityczne pokryte są mgłą tajemnicy i dlatego mało dostępne są dla obserwacji. Oto kilka przykładów:

W Twerze sąd okręgowy sędzi sprawę o zabójstwo ajenta zarządu gubernialnego żandarmerji, a podsądnym jest agent wydziału ochrony. W Jekaterynosławiu obłano kwasem siarczanym pomocnika nadzorcy policyjnego — podsądny wyznaje, że służył w wydziale ochrony, jako specjalista-prowokator. W Grodnie izba sądowa sędzi sprawę socjalistów-rewolucjonistów — głównym organizatorem grupy jest agent ochrony. W Kijowie sąd okręgowy sędzi sprawę o eksproprowację — naczelnik policji śledczej zawiadamia, że kierował eksproprowacją agent wydziału śledczego. Rewizja sen. Pahlena w Turkiestanie wykazała, że komisarz w Aschabadzie, Borow, organizował zabójstwo naczelnika powiatu merwskiego, von Fallera.

Otrzymałem dopiero co wiadomości, że w mieście Piatigorsku komisarz von Ogljo wraz z bratem swym, tamecznym naczelnikiem żandarmerji, wykonał zamach na własne życie i że ta podła komedja pociągnęła za sobą śmierć niewinnego człowieka, a von Ogljo dotychczas pozostaje na służbie.

Wszystkim jest znana szeroka prowokacyjna działalność, b. naczelnika wydziału śledczego we Władywostoku, Zawarnickiego, o której z trybuny tej mówił nawet przedstawiciel rządu. Ofiarą działalności jego, jak wiemy, padło 5 wojskowych, skazanych na karę śmierci.

Jednemu, chorążemu Pirogowowi i obecnie jeszcze grozi wyrok śmierci, a kilkudziesięciu ludzi poszło do ciężkich robót i na wygnanie.

Prowokacja potrzebna jest rządowi dlatego, że jest niezbędnym ogniwem w polityce ogólnej obecnego ministerjum.

Przy interpelacji w sprawie ochrony wileńskiej, towarzyszył ministrowi spraw wewnętrznych, Makarow, oświadczył kategorycznie, że prowokacja przeczy uczuciu moralnemu. Centrum Dumy uwierzyło mu, tylko socjalni demokraci w osobie Gegeczkori dowodzili, że prowokacja nie będzie zaniechana. Najlepszym tego dowodem sprawa Azewa.

Z początku zaprzeczano pogłoskom o tej sprawie i ukarano pisma za powtórzenie tych pogłosek. Dopiero w wigilję otwarcia Dumy rząd przyznał, że sprawa Azewa odpowiada faktom.

Dalej wywodzi mówca, że Łopuchin zdemaskował Azewa i tem dopuścił się przestępstwa państwowego, ponieważ odkrył wielką tajemnicę rządową i pozbawił Azewa możliwości służenia rządowi.

Potem *Pokrowskij* charakteryzuje działalność Azewa:

W roku 1901 Azew, z drugim członkiem związku północnego, Gerszunim, pomyślnie łączy socjalistów-rewolucjonistów północnych i południowych w jedną partję. Bierze następnie udział w opracowaniu planu kampanji zorganizowanego teroru, któreco początkiem miało być

zamierzone zabójstwo Sipiagina. Od lipca 1902 r. Azew pracuje w Petersburgu, jednocześnie jako członek komitetu centralnego i jako członek komitetu petersburskiego, organizuje przewóz literatury partyjnej przez Finlandję; razem z Gerszunim obmyśla plany zamierzeń terorystycznych (powtórnego zamachu na ks. Oboleńskiego i na Bogdanowicza. W r. 1903 w dalszym ciągu kieruje razem z Gierszunim przewozem literatury w lodowniach pokojowych, ale głównie pracuje nad sprawą użycia materiałów wybuchowych, jako nowej zasady technicznej walki terorystycznej. Od stycznia 1904 r. Azew stoi na czele rozszerzonej organizacji bojowej, do której weszli: Kalajew, Sazonow, Szwejcer i inni, oraz rozpoczyna robotę terorystyczną przeciw Plehwemu. Jednocześnie bierze udział w pracy ogólnopartyjnej i organizuje w Rosji pracownie dynamitowe. Po zabójstwie Plehwego, Azew wyjeżdża zagranicę i znów pracuje nad środkami technicznymi walki rewolucyjnej; organizuje przewóz broszur w beczkach ze słoniną.

W listopadzie r. 1904 Azew znów uzupełnia organizację bojową i dzieli ją na trzy oddziały. Jeden został wysłany do Moskwy w celu zabicia Wielkiego Księcia Sergjusza Aleksandrowicza, drugi do Petersburga przeciwko Trepowowi, trzeci do Kijowa. W lecie 1905 r. Azew bierze udział w organizacji przewozu broni do Rosji na statku „John Krafton”. W styczniu r. 1906, urządza zamach na Durnowo. Na krótko przed rozwiązaniem pierwszej Dumy Azew organizuje zamach przeciwko Stołypinowi, lecz wyjaśnia się zarazem, że przy danych środkach technicznych zamach na Stołyпина jest nie do skutecznienia, i Azew składa raport, że dopóki nie znajdą się nowe środki, nie może kierować spiskiem i składa z siebie obowiązki. Potem Azew wyjeżdża za granicę. Wkrótce potem na naleganie komitetu centralnego opracowuje plan działalności, który doprowadza do zabicia Launitza i Pawłowa.

Czyż można wobec tego sądzić, że ten wybitny agent był tylko obserwatorem i donosicielem? Oczywiście nie. Prawdopodobniejszym jest, że Azew ostatecznie zorganizował wraz z Gerszunim partję „S.-R.”, że jednocześnie był głównym członkiem organizacji bojowej i zajmował się przewożeniem literatury i broni. On zorganizował partję i uczestniczył bezpośrednio w główniejszych aktach terorystycznych, doprowadzonych do końca!

Z przeglądu działalności Azewa, podług dokumentów partji „S.-R.”, którym nie mamy powodów nie wierzyć, możemy ustalić fakt, że Azew był agentem rządu, agentem-prowokatorem, t. j. twórcą wielu aktów terorystycznych i że w działalności uczestniczyły niektóre instytucje rządowe w rodzaju wydziału ochrony, a być może i departament policji. O tem wszystkim milczy dokument „S.-R.”, lecz trzeba będzie uznać to za fakt na zasadzie innych dokumentów.

Burcew, który w tej sprawie zbierał materiały, twierdzi, że dane co do stosunku wydziału ochrony do zabójstwa Bogdanowicza, W. Ks. Sergjusza Aleksandrowicza, Launitza i innych, że dane co do tego, iż wydział ochrony dopuścił do tych faktów w interesie rozwoju prowokacji, mogą być zakomunikowane: „jeśli tego będzie potrzeba; piszący te wyrazy może w każdym czasie stawić się osobiście w Petersburgu, aby osobiście dać wyjaśnienia we wszystkich tych sprawach i sprowadzić potrzebnych świadków oraz dać potrzebne informacje”.

„Esery” kwestjonują fakt, iż departament policji nie był powiadomiony o zabójstwie Bogdanowicza, Sipiagina, Plehwego i W. Ks. Sergjusza.

Tenże Burcew potwierdza go, zaznaczając, że jeśli departament policji, jako instytucja, nie był o tem oficjalnie zawiadomiony, to taki działacz w tej sferze, jak Raczkowski, bezwarunkowo był uwiadomiony. Uczestniczył w tem; lecz jeśli nie zawiadomił instytucji, to znaczy, że obok polityki urzędowej prowadził swą samo-

dzielną, prywatną politykę. Jeśli jest tak istotnie, to możemy wierzyć informacjom zagranicznym, że zabójstwo Plehwego było zorganizowane przez Azewa i Raczkowskiego, którego Plehwe usunął ze służby, między innymi, za działalność prowokatorską.

Można wierzyć informacji, że zabójstwo to było zorganizowane przez powyższe osoby i doprowadzone na własne ryzyko, niezależnie od partji „S.-R.” Oto jaki obraz daje nam oświetlenie całej tej sprawy”.

Organ opinji liberalnej rosyjskiej, „Russk. Wied.”, zabierają głos w sprawie aresztowania Łopuchina i podkreślają doniosłość tego faktu dla całego życia politycznego w Rosji.

„Można śmiało powiedzieć, że nic podobnego nawet w ostatnich latach wyjątkowych wypadków jeszcze nie było. Aresztowanie to zdumiewa nawet po srogim porachunku z reprezentantami narodu, posłami do pierwszych dwóch Izb państwowych. Prawda, że do odpowiedzialności pociągnięto nie tylko byłego, ale i znajdującego się obecnie w niełasce naczelnika najpotężniejszej z licznych dekastrji. Prawda, że oskarżenie na zasadzie art. 102 za udział w stowarzyszeniu, mającem na celu zniesienie istniejącego ustroju państwowego, nie jest jeszcze dowodem winy tego wysokiego urzędnika. Ale sam fakt takiego oskarżenia, bodaj w niełasce znajdującego się naczelnika policji politycznej, sama możliwość zrodzenia się takich podejrzeń w stosunku do osoby, która wczoraj jeszcze kierowała sprawą administracyjnych stanów ochrony i tajnego śledztwa politycznego, — dowodzą, — dowodzą, w jakim stanie rozkładu znajduje się cały ten system rządów, w którego karbach miota się gorączkowo kraj już niejedno dziesięciolecie”.

Warszawska Szkoła Fotograficzna

Wierzbowa 8, telef. 198-03.

Kurs zawodowej fotografii trwa 2 lata; kosztuje 150 rb. rocznie. Prawie wszystkie materiały i narzędzia do ćwiczeń i doświadczeń darmo. Po skończeniu świadectwo i pośrednictwo w pracy. Wykłady chemji i optyki fotograficznej, estetyki i rysunków. — Nauka praktycznej fotografii prowadzona systematycznie, pogładowo za pomocą doświadczeń, ćwiczeń, pokazów. Kierunek szkoły artystyczny, nowożytny, ale zapoznaje też z metodami dawnymi, powszechnie używanymi w zakładach fotograficznych.

Kurs zawodowego retuszu kosztuje 100 rb. Trwa 1 rok.

Kurs amatorskiej fotografii w 14-tu lekcjach kosztuje 10 rb. (dla uczniów 7 rb.) Kurs niedzielny, 4-miesięczny po 3 rb. (dla uczniów 2 rb.)

PRACOWNIA ARTYSTYCZNYCH PORTRETÓW

kilka i kilkanaście zdjęć do każdego portretu. Charakter fotografii nowożytny, malarski. Wycucie linji, światłocienia charakteru. Dnie pochmurne lepsze do zdjęcia.

Wielkie portrety na wysoce artystycznych niezniszczalnych papierach.

CENY PRZYSTĘPNE.

Programy i cenniki wysyła się bezpłatnie.

NAUCZYCIELKA

udziela lekcji, przygotowuje do szkół. Posiada języki: francuski i niemiecki. Adres: **Sienna 8, m. 14.** Zastać można od g. 10 do 1-jej.

OSTATNIA NOWOŚĆ!

Dla dorastającej młodzieży i dorosłych.

SNYDER

OBRAZ ŚWIATA

podług najnowszych badań nauk przyrodniczych.

Tłómaczenie z angielskiego. Znakomite to dzieło tłumaczone na wszystkie języki.

Cena w kartonie rb. 1 kop. 30, z przesyłką rb. 1 kop. 80.
W ozdobnej oprawie rb. 1 kop. 70, z przes. rb. 2 kop. 20.

Dla prenumeratorów „Społeczeństwa” 20%.

OD KASZLU I CHRYPKI

zalecają lekarze

Fay'a prawdziwe Sodeńskie mineralne pastylki.

Cena pudełka 70 k. Do nabycia we wszystkich aptekach i składach aptecznych.

Żądać wyraźnie zielonych pudełek z objaśnieniami w jęz. polskim i rosyjskim.

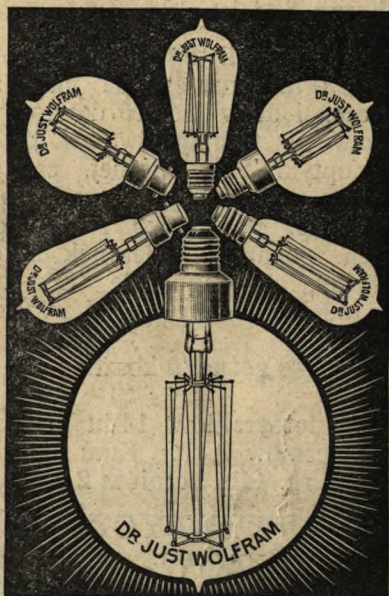
Biuro Nauczycielskie

Warszawa, 23 Bracka

W. Rościszewskiej

poleca nauczycielki i nauczycieli, wychowawczynie, freblanki polki i cudzoziemki.

ŻARÓWKA WOLFRAMOWA „D-ra JUSTA“



70% oszczędności prądu.
Okres palenia około 1,000 godz. bez widocznej straty wydajności światła.

I wat na świecę normalną.
Nieczuła na wstrząśnienia może być stosowaną zarówno do prądu stałego jak i zmiennego.

Jasne i przyjemne dla oka białe światło.

Siła świetlna w świecach normalnych.	
2 — 80 woltów dla różnej ilości	świec normalnych.
80 — 135 „ „ 25, 32, 40, 50 i 100	„ „
136 — 175 „ „ 40, 50 i 100	„ „
176 — 250 „ „ 50 i 100	„ „

Bez zwyżki ceny dostarczamy **ŻARÓWKI WOLFRAMOWE „D-ra JUSTA“**, palące się w **każdym** położeniu dla **każdego** napięcia prądu i **każdej** ilości świec normalnych.

ODPRZEDAWCY OTRZYMUJĄ ZNIŻKĘ.

Dostawa szybka.

Cenniki bezpłatne.

Zjednoczone Tow. Akc. Żarówek i Elektryczności.

Oddział żarówek wolframowych

UJPESZT 4 pod Budapesztem.

Przedstawiciel

Inż. Stefan Szczawiński i S-ka

Warszawa, Wierzbowa 2, telefon 179-09.